



Kryminał z myszką

5

GAZ

3  3

Detektyw
Rafał
Królik
na
tropie

Antoni
Marczyński

Antoni Marczyński

GAZ 303

DETEKTYW RAFAŁ KRÓLIK NA TROPIE

Kryminał z myszką – Tom 5

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-68-7

Copyright © Leopold René Nowak

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

SPIS TREŚCI

- I. KRWAWA PRĘGA
 - II. OSTRZEŻENIE
 - III. PORWANIE W BIAŁY DZIEŃ
 - IV. UWIĘZIENIE
 - V. CHŁODNE NURTY WISŁY
 - VI. PIĘKNY POGRZEB
 - VII. ZNAK ŻYCIA OD WIERY
 - VIII. ZAMACH NA ZBIEGA
 - IX. TRZEBA MIEĆ NOSA
 - X. ŚWIATOWA SENSACJA
 - XI. PIERWSZY ŚLAD
 - XII. RAFAŁ W PARYŻU
 - XIII. OBOWIĄZKI MAŁŻEŃSKIE
 - XIV. RADOSNA NOWINA
 - XV. W KAMIENNEJ DŻUNGLI
 - XVI. STRASZNY SĄSIAD
 - XVII. SYGNAŁ TONAĆCYCH STATKÓW
 - XVIII. STRYJ WIERY
 - XIX. MIŁOŚĆ TAKA I SIAKA
 - XX. SAME NIESPODZIANKI
 - XXI. UROCZYSTE PRZYRZECZENIE
 - XXII. PUŁAPKA
 - XXIII. NIESAMOWITE HISTORIE
 - XXIV. ODJAZD DO BOLSZEWII
 - XXV. GDY ŻYWIOŁ SZALEJE
 - XXVI. NAD ŻŁOTYM ROGIEM
 - XXVII. STALINGRAD???
 - XXVIII. STRZAŁ W NOCY
 - XXIX. GAZ 303
 - XXX. KUŹNIA ŚMIERCI
 - XXXI. GENIALNY BARAN
 - XXXII. FOTOGRAFIA DAISY
 - XXXIII. ZDEMASKOWANIE
 - XXXIV. RĘCZNE GRANATY
- EPILOG
- SŁOWO WSTĘPNE Z WYDANIA Z 1990 ROKU

I. KRWAWA PRĘGA

Podniósł rękę, taksówka zwolniła biegu, podjechała do chodnika, stanęła.

– Szpitalna 5 – rzekł otwierając drzwiczki.

Bezmyślnie liczył łukowe lampy Alei Ujazdowskich, auta mknące naprzeciw na Nowym Świecie, zaś na Chmielnej panienki lekkiego autoramentu.

Wreszcie ulica Szpitalna. Wsiadł. Brama była jeszcze otwarta, lecz dozorca kroczył już przez sień z pękiem kluczy. Przybyłego znał widać, bo zaraz skręcił ku klatce schodowej i otworzył mu windę.

Pensjonat przy ulicy Szpitalnej zajmuje całe piąte piętro dużej kamienicy, klatka dźwigu wjeżdża wprost w korytarz i obcy nie posiadający klucza muszą dzwonić. Juliusz Solarski wyczekał się nieźle tym razem, zanim go pokojówka uwolniła z oszklonej celi zawieszanej nad pięciopiętrowym szybem.

– A, to pan – rzekła. – Pan dziedzic się ucieszy, wyglądał pana niecierpliwie. Zaniósłam mu właśnie kolację.

Przybyły skinął głową i ruszył dalej energicznym, sprężystym krokiem.

Korytarz skręcał w lewo, a potem zwiężał się i wydłużał w prosty, mdło oświetlony tunel, oznaczony po obu stronach prostokątami drzwi od pokoi pensjonatowych gości; ostatnie drzwi po prawej ręce wiodły do chwilowego mieszkania Zygmunta Solarskiego. Na desce z numerami wisiały prawie wszystkie klucze od pokojów, widać większość lokatorów jeszcze nie powróciła z miasta. I dlatego tak cicho tutaj tym razem – pomyślał Juliusz, który zetknął się tu nieraz z gwarem właściwym wielkim hotelom.

Nagle stanął jak wryty. Skrzydło jednych drzwi z lewej strony otworzyło się gwałtownie i na zewnątrz zamajaczył kobiecy profil z ustami rozwartymi do krzyku.

– Ratu...!!!

Nabrzmiały od zgrozy głos zamarł w pół słowa zduszony czyjąś dłonią, którą ręce napadniętej, obnażone, wijące się jak węże, próbowały oderwać. Potem ktoś wciągnął wrywającą się kobietę do pokoju, drzwi zatrasnęły się z łoskotem, klucz zazgrzytał w zamku i wszystko ucichło, wszystko zniknęło, tylko w miejscu, gdzie przed chwilą na tle prostokątnej smugi światła wydostającego się z otwartych drzwi szamotało się rozpaczliwie dwoje ludzi, wykwitła obecnie mała jasna plamka. Solarski pojął rychło, skąd się wzięła:

– Klucz wyjęto z zamku – warknął podchodząc szybko ku drzwiom, poza którymi rozgrywać się musiała jakaś tajemnicza scena. – Mówią po rosyjsku jak rodowici Moskale – zauważył pochwywszy uchem strzępy rozmowy.

Po chwili zastanowienia wrzucił ramionami. Doszedł do przekonania, że tamtych dwoje jest albo małżeństwem, albo parą kochanków lub wreszcie „kochającym się” rodzeństwem. Uznawszy tedy, iż nie miałoby najmniejszego sensu wtrącać się w czyjeś prywatne sprawy, postąpił krok naprzód zamierzając ruszyć w swoją stronę, kiedy przykuł go znów do miejsca krzyk Rosjanina, nabrzmiały wściekłością i groźbą:

– Powiesz, zmijo, albo zatłukę cię na śmierć!

Solarski bezwiednie cofnął się ku drzwiom i nie zastanawiając się, co czyni, pochylił się i zajrzał przez dziurkę od klucza do wnętrza pokoju. Pośrodku, pod wiszącą lampą siedziała w fotelu młoda kobieta w pozie wyrażającej zupełną apatię; jej ręce spoczywające bezwładnie na kolanach były skrępowane koło przegubów białym ręcznikiem, a podobna opaska przecinała jej twarz na wysokości ust.

– Związał ją i zakneblował jej usta – wyszeptał Juliusz ze zgrozą, po czym zaczął szukać wzrokiem napastnika, który stał gdzieś poza jego polem widzenia. Zobaczył go dopiero, kiedy mężczyzna wysunął się na środek pokoju i potrząsając trzymanym w dłoni krótkim bykowcem, pochylił się nad swą ofiarą.

– Mówisz czy nie?! – zasyczał. Kiedy wzruszyła apatycznie ramionami, zamachnął się. Juliusz usłyszał złowrogie chłaśnięcie, głuchy jęk bólu i ujrzał gwałtowny skurcz ciała napadniętej.

Tego już mu było za wiele. Energicznie zapukał i nie czekając przyzwolenia nacisnął klamkę. Ale drzwi nie ustąpiły, były zamknięte na klucz, o czym w wzburzeniu zapomniał.

– Otworzyć! – rzekł ostro i znów zastukał, jeszcze silniej tym razem. W odpowiedzi zgasło światło w pokoju i nastała grobowa cisza.

Przyłożył ucho do drzwi, nadśluchiwał pilnie. Po chwili wyłowił szmer ostrożnych kroków, szelest jedwabnej tkaniny i echo gorączkowego szeptu: ktoś westchnął ciężko, ktoś nadepnął na skrzypiącą deszczułkę parkietowej posadzki, aż w końcu Juliusz zniecierpliwił się nie na żarty tą grą w ślepą babkę:

– Otworzyć albo zaalarmuję cały pensjonat i policję – oświadczył zbliżywszy usta do dziurki w zamku.

To pomogło. Tam wewnątrz zabłysło znów światło, zabrzmiały energiczne kroki i rozległ się chrobot klucza; ktoś otworzył drzwi ruchem ostrym, niecierpliwym i Juliusz Solarski przekroczył próg.

Badawczym spojrzeniem ogarnął cały pokój, umeblowany przyzwoicie, ale z przeklętym szablonem hotelowym, potem zerknął podejrzliwie w stronę łóżka, już posłanego do spania, lecz nie zmiętego, a wreszcie zwrócił oczy na stojącą na tle wielkiego lustra kobietę. I już nie mógł od niej oderwać wzroku. Oczarowała go ta piękna nieznajoma, ujęła za serce dziewczęcą urodą i przepelnionym wdzięcznością spojrzeniem swoich wspaniałych podłużnych oczu. Łoskot zatrzaśniętych drzwi przerwał tę niemą adorację; Juliusz odwrócił się i stanął oko w oko z napastnikiem. Jegomość ten, liczący około czterdziestu lat, wyglądał na skończonego dżentelmena i gdyby nie scena, której Solarski był przed chwilą naocznym świadkiem, nigdy by tego wytwornego pana nie posądził o chamskie maniery. Nie było jednak czasu na dalsze refleksje, bowiem Moskał, zamknąwszy drzwi, natarł z impetem na intruza:

– Kim pan jest i jakim prawem wdziera się pan do prywatnego mieszkania? – spytał ostro całkiem poprawną polszczyzną.

– Prawem dżentelmena, który słyszał jęki maltretowanej kobiety – odparł Juliusz podobnym tonem.

Błyski hamowanego gniewu w nieco skośnych oczach tamtego ustąpiły miejsca doskonale udanemu zdziwieniu.

– Maltretowanej? – powtórzył zdziwiony. – Wiera, czy ja dobrze słyszałem? – zwrócił się do kobiety.

Nie odrzekła ani słowa, Juliusz, obserwujący ją bacznie, odniósł wrażenie, że z obojętnością odnosi się do konfliktu mężczyzn, którego była w końcu główną przyczyną; ubodło go to trochę, ale wypalił prosto z mostu:

– Milczenie tej pani demaskuje pańską obłudę, ale dla mnie miarodajne jest przede wszystkim to, co sam słyszałem i widziałem!

– „Widziałem”?! Zatem dżentelmen podglądał przez dziurkę od klucza? – wtrącił Rosjanin zjadliwie.

– Wypraszam sobie zbędne uwagi, zrozumiano?!

– A ja mam ochotę wyprosić pana za drzwi, zrozumiano?!

– Wyjdziemy obaj w takim razie. Komisariat policji jest tu naprzeciw, przy ulicy Przeskok 2.

Tym razem cięty w języku Moskał zrezygnował z repliki. Łagodnie, niemal prosząco oświadczył, że przez wzgląd na narzeczoną pragnąłby uniknąć skandalu.

– Wieroczka, wyjaśnij panu, że jego rycerska interwencja jest naprawdę zbyteczna – rzekł podchodząc do zamysłonej kobiety. Szeptem rzucił jakieś słowo, które ją

zelektryzowało; ocknęła się z zadumy, spojrzała na Juliusza ciepło, serdecznie i zaczęła mówić z nerwowym pośpiechem:

– Borys Siemionowicz ma rację... Posprzeczaaliśmy się troszkę, ot i wszystko. Nic poważnego doprawdy. Nic mi nie zagrażało, zapewniam pana, mimo to czuję się w obowiązku podziękować panu za dobre chęci i jego rycerskość. – Powiedziawszy to podeszła do Solarskiego i podała mu dłoń w taki sposób, jakby koniecznie chciała, aby ją ucałował. Uczynił to z zapałem, ale pochylając się do jej zgrabnej rączki zobaczył powyżej przegubu krwawą pręgę, która wysunęła się z szerokiego mankietu narzutki obszytej futrem.

– Pan także tutaj mieszka? – spytała nagle Wiera.

– Niestety nie. Tylko mój kuzyn, którego szedłem właśnie odwiedzić, kiedy posłyszałem odgłosy tej... sprzeczki państwa...

– Znowu kogoś diabli niosą? – sarknął Rosjanin, gdy nagle zapukano do drzwi. – Raut u ciebie, Wieroczka, czy jak? Proszę wejść.

Tym razem w progu stanęła pokojówka, ta sama, która Juliusza wypuściła z windy. Zdziwiła się trochę zobaczywszy go tutaj, ale nie powiedziawszy nic zwróciła się do Borysa:

– W jadalni jest telefon do pana.

– Zaraz przyjdę – odparł ekspediując pokojówkę wyniosłym gestem do drzwi i spojrzał wyzywająco na Juliusza, jakby miał zamiar rzec: „Czy pójdziesz nareszcie stąd, czy mam cię wyrzucić na zbity pysk?” Że jednak tamten był równie wojowniczo usposobiony, nastąpiła chwila uciążliwego milczenia, które w końcu przerwała Wiera:

– Proszę iść załatwić swój telefon, Borysie Siemionowiczu, a pan dotrzyma mi towarzystwa przez ten czas, dobrze?

– Z największą przyjemnością – oświadczył z zapałem Solarski i z trudem pohamował wybuch śmiechu widząc minę wychodzącego Borysa.

Kiedy zostali we dwoje, Wiera podbiegła na palcach do drzwi i nadśluchiwała przy nich przez kilka sekund. Potem szybkim ruchem zrzuciła narzutkę – bez tego okrycia, które przyozdobione futrzanym kołnierzem i szerokimi rękawami czyniło jej smukłą sylwetkę tęższą, wyglądała jeszcze ponętniej. Nie dlatego jednak zdjęła narzutkę ani nie po to, by zaprezentować swoją toaletę balową.

– Widzi pan? – spytała szeptem wyciągając przed siebie obnażone ramiona, jędrne, toczone i... pokryte sińcami, a ponad przegubem dłoń przecinała ukośna pręga. – Zasłoniłam się rękami, inaczej miałabym ślady na twarzy!

Solarski zgrzytnął zębami i zacisnął pięści.

– Jakim prawem ten łotr, brutal!... – wybuchnął. Nie pozwoliła mu mówić. Impulsywnie położyła mu dłoń na ustach i obejrzała się trwożnie w stronę drzwi.

– Cicho! – wyszeptwała. – Nie tu, nie trzeba teraz o tym mówić. Pański adres? – Szybko wyjął z portfela swój bilet wizytowy i wręczył go jej. – Dam znać, ale teraz niech pan już idzie do swego kuzyna.

– A czy nie lęka się pani?

– On zastanie te drzwi zamknięte – odparła. Wzięła z krzesła czarną narzutkę, laskę i melonik, a wypuszczając Juliusza z pokoju rzuciła to wszystko w korytarzu na podłogę. – Tu je sobie znajdzie pan Łapin – roześmiała się i kopnęła melonik, że potoczył się po dywanie jak piłka. Była to bardzo dziecinna zemsta, choć nie pozbawiona wdzięku w wykonaniu pięknej Wiery; tego zdania był przynajmniej Juliusz Solarski.

– Czy mógłbym być pani w czym pomocny? – spytał jeszcze, nie znajdując już innego pretekstu do zatrzymania czarującej dziewczyny w uchylonych drzwiach.

– Pomocny? Mój Boże, gdyby pan miał dużo wolnego czasu, prosiłabym gorąco, by się pan mną zaopiekował w Warszawie. Taka tu jestem sama, zupełnie sama... Ale to śmieszne, co mówię, prawda? Cicho! Słyszysz pan? Kroki! On wraca! Proszę odejść zaraz i unikać

wszelkich konfliktów z Borysem. Błagam o to! – Posłała mu najpiękniejszy uśmiech, zamknęła drzwi, a chrobot klucza w zamku oznajmił Juliuszowi, że dzisiaj już jej nie ujrzy.

II. OSTRZEŻENIE

Nazajutrz po południu zajechał do pensjonatu niski szpakowaty mężczyzna. Gospodyni zaproponowała mu duży pokój, którego okna wychodzą na Szpitalną, ale to mieszkanie nie przypadło do gustu gościowi.

– Nie lubię zgiełku ulicznego – rzekł i zażądał pokoju od strony dziedzińca. Spełniła to życzenie zaznaczając mimochodem, zapewne po otaksowaniu wzrokiem lichej jesionki gościa i jego tekturowej walizki, że nie ma pokoi poniżej dwudziestu złotych za dobę i rozczarowała się przyjemnie, gdy przybyły machnął ręką wzgardliwie.

– Czy wolno wiedzieć, jak długo szanowny pan zamierza u nas pozostać? – spytała już całkiem uprzejmie.

– Może kilka dni, a może kilka miesięcy – brzmiała ostrożna odpowiedź. – Wszystko zależy od tego, jak mi pójdą interesy. No tak, pokoik podoba mi się, owszem, owszem... A co jest za tą kotarą?

– Drzwi, proszę pana, ale z obu stron zamknięte na głucho.

– Tamten sąsiedni pokój jest zajęty? Można wiedzieć, kto tam mieszka? – spytał przybyły skubiąc swoją kozią bródkę.

– Pewna Rosjanka, ale to bardzo spokojna osoba: nie gra, nie śpiewa, nie trzyma psów, na pewno nie będzie pan narzekał na sąsiedztwo.

– Daj Boże – westchnął gość odwracając twarz ku oknu, by gospodyni nie dostrzegła uśmiechu zadowolenia, jaki mu zaigrał na wargach.

– Pan zapewne chce się odświeżyć po podróży. Przyślę za chwilę dzbanek gorącej wody i blankiet meldunkowy, który proszę łaskawie zaraz wypełnić.

– Doskonale.

Kiedy przysłana pokojówka weszła do pokoju nowego lokatora, mężczyzna z bródką paradował już w ciepłej piżamie, a z na pół wypróżnionej walizki spływała barwna kaskada próbek wełnianych materiałów.

– Podobają się pani, co? – zagadał łaskawie i przymierzył dziewczynie kolejno kilka najbardziej jaskrawych prostokątów materii. – Wełna pierwszorzędna. Już to nasze bielskie wyroby nie ustępują w niczym angielskim, a fabryka, której jestem reprezentantem, tworzy prawdziwe arcydzieła. O, proszę dotknąć paluszkami – zachęcał uprzejmie, choć „paluszki” przysadzista dziewczucha miała grube i czerwone. Po kilku dalszych komplementach i poufałym uszczypnięciu niewieściego podbródka nowy gość pozyskał sobie sympatię pokojówki, co w życiu pensjonatowym jest kwestią dużej wagi; dziewczyna zerknawszy w korytarzu na wypełniony blankiet meldunkowy stwierdziła, że pan Jan Sobieraj, agent handlowy, to całkiem porządny gość i w dwie godziny później przybiegła z przyjemnością oznajmić mu, że „telefon czeka w jadalni”.

– Telefon do mnie? – zdumiał się nowy pensjonariusz. – Nie, to chyba omyłka.

– Sama odbierałam – zaperzyła się dziewczyna. – Tamten pan powiedział wyraźnie, żeby poprosić pana Jana Sobieraja.

Kręcąc wciąż głową ze zdziwienia, agent pospieszył do jadalni, gdzie przy drzwiach wisiał aparat telefoniczny do dyspozycji pensjonatowych gości.

– Czy mówię z panem Sobierajem? – zarechotał w słuchawce męski głos, całkiem nie znany mężczyźnie z bródką.

– Tak. Z kim mam przyjemność?

– Tu firma „Humbug”, łaskawco. Dowiedziawszy się o pańskim przybyciu do Warszawy, zgłaszamy się sami do pana. Chcielibyśmy zakupić kilkaset kilometrów czarnego sukna z fabryki, którą pan reprezentuje... Interesuje pana zapewne, po co nam tyle czarnego materiału, co?

– Istotnie – wybąkał mężczyzna, zaintrygowany, ki diabeł wywąchał tak prędko jego adres i w jakim celu pokpiwa sobie z niego w ten sposób.

– Potrzeba nam – ciągnął dalej nie znany dowcipniś – bo w tych dniach cała Warszawa przywdzieje żałobę po największym durniu, jakiego świat widział, mianowicie po panu Rafale Króliku, rzekomym Janie Sobieraju!

Mężczyzna jęknął ogłuszony jak po ciosie obuchem w głowę.

– Kto tam mówi, do kroćset! – huknął oprzytomniawszy nieco.

– Człowiek, który wobec pana nie żywił nigdy wrogich zamiarów, a który cię, idioto, zastrzeli jak psa, jeżeli zaczniesz się mieszać do nie swoich spraw. Mam na myśli młodą osobę nazwiskiem Wiera Rusanow, uważa pan? Wiem wszystko. Że porucznik Juliusz Solarski był dzisiaj rano w waszej kancelarii, że prosił detektywa Szafrana, aby otoczył opieką pannę Rusanow, że detektyw, nie mając sam czasu, zlecił tę pracę swojemu pomocnikowi, czyli panu. Wystarczy? Czy mam jeszcze powtórzyć słowa, jakie pan, niemądry pyszałku, powiedziałeś do Solarskiego? „Może pan mi zaufać, poruczniku, pannie Rusanow włos z głowy nie spadnie, a jej wrogów unieszkodliwię w ciągu trzech dni”. Tak pan powiedział czy nie tak?

– Taaak – bąknął pod nosem zdruzgotany Rafał Królik. W pierwszej chwili zamierzał rzucić słuchawkę na widelki, ale po namyśle postanowił słuchać dalej licząc, że tajemniczy a zuchwały rozmówca w ferworze powie więcej, niżby jego interes i zwykła przezorność wymagały.

– I jakże niefachowo zabrał się pan do roboty – triumfował tamten w dalszym ciągu. – Wojażer, biedny agencina zajeżdża do drogiego pensjonatu, wybiera pokój obok mieszkania Wiery, a w dodatku przyjeżdża z dworca na godzinę przed przyjściem krakowskiego pociągu, którym powinien przybyć z Bielska... Mówię to wszystko po to, aby pana czegoś nauczyć; lubię mieć do czynienia z mądrym przeciwnikiem, idiotów tępię bez litości!

– Niech się pan nie unosi, drogi Borysie – odciął się Rafał Królik. – Bo nie wątpię, że mam wątpliwą przyjemność gawędzić z panem Borysem Siemionowiczem Łapinem, o którego wytwornych manierach coś niecoś słyszałem... No i co? Zaprzeczy pan? Czy zagramy w otwarte karty?

– Dobrze! – padło twardo po krótkiej pauzie. – Zatem jako lojalny przeciwnik ostrzegam pana stanowczo przed...

– Wiem – wtrącił Rafał Królik z humorem – przed mieszaniem się w cudze sprawy. Niestety na tym właśnie polega wykonywanie szaczonego zawodu detektywa, że...

– A więc między nami walka na śmierć i życie!

Ten patetyczny frazes został jednak wypowiedziany takim tonem, że mały detektyw, nie grzeszący nigdy nadmiarem odwagi, bąknął pojednawczo:

– Czy nie mógłby mi pan zostawić trochę czasu do namysłu? Powiedzmy trzy dni... Bądź co bądź to poważna rzecz.

– Trzy dni? Absurd! Trzy godziny to zgoda. Zatem dzisiaj o siódmej wieczorem upływa termin. Od pana zależy, czy będzie pan miał we mnie przyjaciela, czy nieubłaganego wroga.

– Niech będzie. O siódmej zakomunikuję panu moją decyzję. Pod jaki numer mam do pana zatelefonować? – spytał z głupia frant.

W słuchawce zagrzmiała kaskada szyderczego śmiechu.

– Pan mimo wszystko jest dowcipnym człowiekiem. Podać mu numer telefonu, no proszę! A może i adres, co? Nie, panie Króliku! Uprościmy sobie sprawę. Jeżeli o godzinie siódmej będzie pan nadal sąsiadem Wiery Rusanow, to znak, że wybrał pan wojnę ze mną. I

jeszcze dzisiaj odczuje pan na swojej skórze zgubne skutki tej lekkomyślności. Jeszcze dzisiaj, ostrzegam lojalnie! A teraz żegnam kochanego pana.

– A to beczelny łobuz – mruknął Rafał z uznaniem skończywszy tę jedyną w swoim rodzaju rozmowę telefoniczną. – Dzwonić do centrali telefonicznej i próbować ustalić numer tamtego aparatu, zbędna fatyga – rozumował. – Taki szczwany lis na pewno nie dzwonił ze swego mieszkania, ale z jakiejś kawiarni, albo z publicznej rozmównicy. Lepiej udać się do szefa po radę; przyjaźń przyjaźnią, ale dlaczego ja zawsze dostaję najcięższą robotę? – rozczulił się nad sobą.

Ubrawszy się pośpiesznie pojechał do swego mistrza, lecz wielki Baltazar Szafran, zirytowany jakimś niepowodzeniem, zwymyślał go od tchórzów i głupców, po czym kazał mu wracać na opuszczony posterunek.

– Ależ, Balciu kochany, ten bandyta odgrażał się, że dziś dosięgnie mnie jego zemsta – próbował łagodnej perswazji Rafał Królik.

– Przechwałki, bufonada, ot co. Zresztą skoro się pietrasz, to nie wychodź dzisiaj z domu. Siedź kołkiem w swoim pokoju. Spluwę masz?

– Dwie – odparł Rafał klepiąc się po kieszeniach spodni silnie ciężącym ku piętom. – Mały browning, dziewięćmilimetrowy mauzer, ponadto sztylet indyjski...

– Weź jeszcze siekiere i karabin maszynowy – parsknął śmiechem detektyw popychając strachliwego pomocnika ku drzwiom. – Zatelefonuj także do porucznika Solarskiego, aby ci ze dwie baterie haubic przysłał na Szpitalną, tylko mnie głowy nie zawracaj, bo mam ważniejsze zmartwienia.

W końcu jednak, ulegając gorącym prośbom Rafała, przyrzekł, że koło siódmej zjawi się w pensjonacie i dotrzyma koledze towarzystwa.

– Przyniosę szachy, żeby się nam nie nudziło – dodał beztrąsko. Mimo zapewnienia sobie tak poważnej odsieczy Rafał Królik przerobił swój pokój na małą twierdzę. Usadowił się w narożniku bliżej okna mając za plecami łóżko, a przed sobą zaporę z foteli i biureczko pośrodku. W jego uchylonej szufladzie spoczął większy rewolwer, mniejszy leżał na biurku pod gazetą, indyjski sztylet znalazł się w rękawie. Drżące kolana detektywa ścisnęły jeszcze jedną broń znalezioną już tutaj, na miejscu, mianowicie pogrzebacz! Cały pokój został sumiennie przetrząśnięty, tak że nie tylko skrytobójca, ale nawet maszyna piekielna kieszonkowych rozmiarów nie zdołałaby się ukryć przy tej rewizji lokalnej; z tą samą przezornością zasłonił Rafał okno, zbadał zasuwę zabezpieczającą drzwi od pokoju sąsiadki. Tylko drzwi na korytarz pozostawił nie zamknięte na klucz, aby nie być zmuszonym do wstawania, gdy służąca przyniesie kolację lub gdy nadejdzie oczekiwany z utęsknieniem Baltazar.

– Żeby tylko przybył punktualnie – wzdychał detektyw śledząc ze wzrastającym napięciem wskazówki budzika. Zbliżała się siódma.

– Zdaje się, że mam temperaturę, widać przeziębilem się – mruknął. Nie odrywając prawej ręki od gazety, pod którą leżał browning, lewą wyjął z kamizelki małe prostokątne lustro i postawił je na biurku przed sobą. – Bagatela, i język także obłożony. No tak, ale czy to obchodzi Baltazara? Wysła ciężko chorego kolegę na niebezpieczny posterunek jak gdyby nigdy nic, a sam siedzi w domu – narzekał roztkliwiając się nad sobą.

– Siód-ma – zająknął się zerknąwszy na budzik.

Pod jego drzwiami rozległy się kroki, a po chwili usłyszał pukanie. – Kto tam? Proszę wejść – rzekł cały spięty. Odetchnął, bo na progu stanęła pokojówka. Nie ta, którą poznał przedtem, lecz jakaś inna, wyższa i tęższa, ale też i urodziwsza od tamtej. Bez słowa wyciągnęła rękę ukrytą wstydliwie pod białym fartuszkim i wskazała na łóżko.

– Panienska chce mi pościelić do spania, tak? A, proszę, proszę – zagadał przyjaźnie pokazując oczyma, który fotel ma odstawić, aby się przedostać przez te „okopy”. Niezbyt rozmowna, ale ładna szelma – pomyślał, a upewniwszy się, że w korytarzu panuje cisza,

skierował wzrok ku lusterku... I skamieniał z przerażenia. Ujrzał ponad swoją głowę rękę uzbrojoną w ciężką marmurową popielniczkę, która spadała w dół z zatrważającą szybkością. Potem ogarnęła go ciemność.

Gdy w pół godziny później Baltazar Szafran zapukał do drzwi pokoju, gdzie zainstalował się kolega, nie otrzymał żadnej odpowiedzi; panowała tam złowróźbna cisza i mrok. Zaniepokojony tym wszedł natychmiast, przekreślił kontakt i gdy rozbłysło światło, ujrzał swego pomocnika rozciągniętego na łóżku.

Przekonawszy się, że ów żyje, rozpoczął energiczne zabiegi, aby przywrócić mu przytomność. Ten nawet szybko ocknął się z omdlenia, ale na skutek szoku tak gadał od rzeczy, że cierpliwość detektywa, pragnącego jak najprędzej wyjaśnić ten wypadek i rozpocząć pościg za napastnikiem, była wystawiona na ciężką próbę.

– Pokojówka – wymamrotał w końcu Rafał. Przyprawiono mu do łóżka kolejno całą służbę pensjonatu, lecz konfrontacja nie przyniosła efektów.

– Proszę o listę gości – zażądał Szafran, kierując słusznie w tę stronę swoje podejrzenia. – Stefan Jarociński, Irena Bermańska, Wiera Rusanow – czytał półgłosem. – Zygmunt Solarski, aha, to kuzyn naszego klienta, Michał Dudyk. Proszę pani, dlaczego to ostatnie nazwisko jest przekreślone? – spytał gospodynię przerażoną tajemniczym napadem na pensjonatowego gościa.

– Pan Dudyk wyprowadził się dzisiaj.

– O której godzinie?

– Wieczorem, jakoś po siódmej. Mieszkał na wprost pokoju panny Rusanow.

– Od jak dawna tu się zatrzymał?

– Od trzech dni.

– To jesteśmy w domu! – mruknął detektyw zacierając ręce. – Zechce mi pani przysłać pokojówkę, która obsługiwała tego Dudyka.

– Jezus Maria! – krzyknął nagle Rafał.

– Co ci jest? – spytał zaskoczony Szafran i szybko podszedł do łóżka kolegi.

– Przeczytaj, Balciu kochany – wymamrotał przerażony Królik, podając mu kartkę, którą dopiero co znalazł. Detektyw podniósł papier do oczu i odczytał: „To było nasze ostatnie ostrzeżenie, a teraz walka na śmierć i życie”.

– Co ty na to, Balciu złoty?

– Nic. Przyjmuję wyzwanie! – odparł na pozór spokojnie Szafran, lecz w jego głosie zabrzmiała głucha zaciętość.

– Tak – westchnął z rezygnacją poszkodowany. – Ty zawsze przyjmujesz wyzwanie, a poszkodowany stale jestem ja! Czy nie można by tego urządzić na odwrót?

III. PORWANIE W BIAŁY DZIEŃ

W dwa dni po tak namacalnym ostrzeżeniu Rafał Królik zluzował swojego mistrza w dyskretnym czuwaniu nad Wierą Rusanow i obejmując na powrót swój posterunek powiedział jakby w proroczym natchnieniu:

– Nic się nie wydarzyło, bo ty masz szczęście, ale teraz zobaczysz. Czytaj jutro uważnie kronikę wypadków.

Detektyw pocieszył pesymistę przysłowiem, że „co ma wisieć, nie utonie” i dodał, że tylko porządni ludzie umierają nagłą śmiercią, po czym odszedł do swego biura, zaś Rafał, ucharakteryzowany tym razem na sędziwego Izraelitę, zajął ich zwykle od kilku dni miejsce obserwacji przy ulicy Szpitalnej naprzeciw kamienicy nr 5. Tym razem nie czekał zbyt długo. Punktualnie o dziewiątej ukazała się w bramie smukła sylwetka Rosjanki. Wiera Rusanow rozejrzała się podejrzliwie i uskoczyła pod mur domu na widok taksówki, która wypadła z

ulicy Przeskok i zwolniwszy biegu podjechała jakby zapraszająco do chodnika. Rafałowi też wydał się podejrzany manewr taksówki oraz pośpiech, z jakim pomknęła ku Brackiej, toteż zapisał sobie numer auta, a potem bez pośpiechu ruszył za Wierą Rusanow. Trzymał się od niej w dość znacznej odległości, bacząc tylko, by jej nie stracić z oczu.

– Jak zawsze zaczyna swój ranny spacer od poczty – mruknął, kiedy przecięła jezdnię u wylotu Szpitalnej na plac Napoleona. Nie omylił się. Wiera weszła do gmachu Poczty Głównej, nadała jakiś list polecony, potem zaś jak zwykle zbliżyła się do okienka „poste restante”. – Znowu nic nie dostała – stwierdził.

Po opuszczeniu urzędu ulicą Warecką skierowała się na Nowy Świat i zniknęła, zanim Rafał minął narożnik. Nie zmartwił się jednak tym faktem, przystanął koło kiosku z gazetami i zapalił papierosa.

– Krawcowa to drugi etap pracowitego dnia pięknej Wiery – monologował z humorem. – Trzecim będzie fryzjer lub magazyn z kapeluszami.

Tym razem jego proroctwo się nie spełniło. Panna Rusanow, wyszedłszy po dłuższej konferencji u krawcowej ze znanej Rafałowi kamienicy, zawróciła ku Marszałkowskiej przez Świętokrzyską i weszła do budynku Pocztovej Kasy Oszczędności. Rafał Królik omal jej nie stracił z oczu zagapiwszy się na dwie limuzyny, wyładowane ludźmi i budzące sensację dzięki aparatowi do zdjęć kinematograficznych, który wraz z operatorem spoczywał na błotniku drugiego samochodu. Niemal w ostatniej chwili dostrzegł Wierę znikającą w bramie PKO i popędził za nią zaciekawiony, jakie też transakcje finansowe zamierza załatwić dziewczyna.

Tymczasem obie limuzyny przystanąły koło schodów gmachu. Gromada aktorów czy statystów wysypała się na chodnik, a przywódca tego towarzystwa, zapewne reżyser, podszedł szybko do policjanta regulującego ruch przy ciasnym skrzyżowaniu ulic Jasnej i Świętokrzyskiej.

– Jesteśmy z wytwórni „Iskra-Film” – rzekł uchylając grzecznie kapelusza. – Zamierzamy właśnie nakręcić tu jedną scenę.

– Ach, to panowie – zainteresował się posterunkowy, który przypadkowo był zapalonym kinomanem i wiedział już z gazet o nakręcaniu nowego obrazu znanej wytwórni „Iskra”. – Czy mogę panom w czym pomóc? – spytał uprzejmie.

– Właśnie o to chodzi – wtrącił tamten z wielką skwapliwością. – Będziemy tu kręcili scenę porwania córki bogatego bankiera. Film dźwiękowy, pan rozumie. Artyści będą krzyżeć, mówić, strzelać, obawiam się więc, by ktoś z gapiów, oczywiście nie wtajemniczonych, nie narobił nam bigosu.

– Och, może pan być spokojny.

– Tak się mówi, panie przodowniku. Jednakże miałem w swej praktyce wypadek, że w podobnej sytuacji jakiś półgłówek rzucił się ratować napadniętą bohaterkę dramatu, przewrócił nam aparat i...

– Tu się to nie zdarzy, moja w tym głowa – przerwał posterunkowy awansowany na przodownika. Bardzo był dumny, że właśnie jemu przypadł zaszczyt asystowania przy zdjęciach i cieszył się na myśl, że oglądając później ten film na ekranie z narzeczoną, będzie mógł pochwalić się i swoim udziałem. Wysunę się trochę, może i mnie chwyci na taśmę – pomyślał w duchu.

Współpraca tak energicznych mężczyzn, jak reżyser z tekturową tubą, dyrygujący aktorami, i posterunkowy kinoman, trzymający w ryzach gapiów, pozwoliła ukończyć przygotowania do zdjęć w ciągu dwóch minut. Artyści, grający apaszów, przycaili się w malowniczych pozach za kolumnami gmachu, operator ustawił swój potężny aparat tuż obok głównego wejścia do banku, a reżyser wstąpił na stopnie amfiteatralnych schodów i podniósł dłoń w górę na znak, że pragnie przemówić.

– Panie i panowie! – huknął przez tubę. – Mam nadzieję, że będziecie oglądali ten film na ekranach, tak więc we własnym interesie nie przeszkadzajcie nam, nie utrudniajcie aktorom ciężkiej pracy. Kiedy dam znak ręką, musi zapanować absolutna cisza. Za to potem, gdy samochody ruszą pędem, proszę o hałas i okrzyki: „Policja! Łapać! Trzymać!”... I nie bójcie się państwo huku kilku wystrzałów, ślepe naboje nie zrobią nikomu krzywdy... A po skończonych zdjęciach nie żałujcie braw artystyce, od której zależy ta scena.

– A gdzież ona? – spytał ktoś z tłumu.

– Już jest w gmachu. Musi się skupić, dlatego przystałem, aby tam zaczekała.

– Kto to jest, proszę pana? Smosarska czy Malicka?

Tajemniczy uśmiech zagrał na twarzy reżysera.

– Zobaczycie sami, ale wątpię, czy ją poznacie w tej roli.

– Ja poznam od razu – mruknął policjant odsuwając falujący tłum. – Gdzie się pani pcha? Panie szanowny, nie bądź pan taki ciekawy. Odsuńcie się, pókim dobry, bo zepchnę całe towarzystwo na drugi chodnik – odgrażał się zerkając wciąż ku drzwiom PKO. Nikt tam teraz nie wchodził, bo każdy wolał poczekać na zewnątrz na zdjęcia, ale raz po raz ktoś stamtąd wychodził i tych pomocnik reżysera, a zarazem specjalista od czarnych charakterów, jak się już rozniosło wśród tłumu, wypraszał uprzejmie ze schodów, aby nie zawadzali.

W pewnej chwili z drzwi głównych wypadł aktor ucharakteryzowany na apasza, z nieodzownym szalikiem na szyi, i pobiegł do reżysera. Ten skinął głową i podniósł w górę rękę z tubą.

– Proszę o spokój! – krzyknął. – Zaczynamy!

Nastała cisza zakłócana tylko dalekimi odgłosami ruchu ulicznego z zawsze gwarnej ulicy Marszałkowskiej. W wejściu do PKO stanęła młoda, wytwornie ubrana dama i patrzyła onieśmielona czy zdziwiona na tłum przygodnych gapiów.

Przeraźliwy gwizd przeszył powietrze.

– Zaczynamy! – zahuczał reżyser przez tubę.

Apasz skoczył jednym susem ku stojącej kobiecie, chwycił ją za rękę i wrzasnął:

– Mam cię, ptaszyno!

– To pewne Samborski – pisnęła jakaś jejmość.

– Pssst! Cicho tam! Zamknij pani jadaczkę – upominano ją z różnych stron coraz donośniej, zagłuszając słowa napadniętej.

– Co to znaczy?! Na pomoc! – zawołała przerażona dziewczyna.

– Amantka głośniej! Apasze, naprzód! – dyrygował reżyser.

– Ratunku! Policja!... Ludzie, ratujcie mnie! Precz, łotry! – krzyczała histerycznie kobieta nie rozumiejąc, dlaczego policjant i ten olbrzymi tłum spoglądają obojętnie na zuchwałą napaść. Szamotała się rozpaczliwie, wyrywała, ale bezskutecznie; jej słabe dłonie nie mogły się opędzić napastnikom.

– Dobrze gra. Bardzo dobrze – chwaliły panusie.

– To Baśka Orwid.

– Gdzie tam. Baśka jest niższa.

– To Batycka.

– Ciszej tam! – policjant nawoływał do spokoju.

– Na pomoc! Policja! To Borys Łapin! Aresztujcie go, ja... – próbowała znów ratować się dziewczyna, ale dłoń jednego z napastników zamknęła usta otwarte do krzyku.

– Motory w ruch! – ryknął reżyser.

Kierowcy samochodów włączyli silniki i w miarowych odstępach powtarzali sygnały trąbką, tymczasem czterech mężczyzn wlokło osłabłą kobietę, która bezwolna zstępowała już z najniższych stopni na chodnik.

Nagle zaszła rzecz zupełnie nieoczekiwana. Oto z drzwi banku wypadł jak bomba sędziwy Izraelita, w trzech susach przebył schody, tak że jego obszerny chałat rozwinął się jak spadochron, i rzucił się na apaszów.

– Widzi pan? – reżyser zwrócił się z wyrzutem do policjanta. – Znowu znalazł się wariat.

Posterunkowy ruszył do ataku jak burza i w pięć sekund później trzymał za kołnierz niepowołanego obrońcę, który wrzeszczał jak opętany:

– Puścić mnie! Jestem detektywem! Aresztować natychmiast tych ludzi!

– Ależ, panie szanowny, to aktorzy filmowi.

– Co? Jak? Aktorzy? – Rzekomego Izraelitę, a faktycznie Rafała Królika, zbiło nieco z tropu wyjaśnienie policjanta i anielski uśmiech wyrozumiałości na jego poczciwej twarzy.

– Panie posterunkowy, wziąć precz tego Żyda, niech nie przeszkadza – żądał tłum; dwóch mężczyzn skoczyło policjantowi na pomoc i pomagało ofiarnie w przetransportowaniu Rafała Królika, w którym na nowo obudziły się wątpliwości i wynikająca stąd chęć spieszenia z pomocą Wierze Rusanow.

– Proszę wylegitymować tych ludzi! Żądam tego kategorycznie! – krzyczał próbując oswobodzić dłoń, aby okazać stosowną legitymację swoim prześladowcom, ale ci trzymali go tym mocniej, im gwałtowniej się szarpał. – To jest napad! Pan jesteś idiotą, kretynem!

Reżyser wyrwał z kieszeni rewolwer i wypalił w powietrze kilkakrotnie zagłuszając detonacjami wrzaski Rafała.

– Operator do auta! Zbliżenie! – zaryczał znów megafon.

Dwóch mężczyzn chwyciło dużą kamerę wraz ze statywem i pobiegło do pierwszej limuzyny, po czym nakręcano z bliska scenę, jak porwana kobieta siłą jest wpychana do wnętrza samochodu. Reżyser znów podniósł rękę.

– Cicho tam!

– Zatkajcie gębę temu głupcowi – wołano pod adresem opiekunów Rafała Królika.

– Szanowni państwo – oznajmił reżyser. – Teraz rozpoczniemy kręcenie sceny ucieczki z porwaną. Dziękuję wam za łaskawe względy, jakie nam tu okazaliście, i proszę o brawa dla aktorki, która tak znakomicie wywiązała się ze swego zadania.

– Ale kto to jest? Nie poznaliśmy.

– Dowiedcie się jutro z gazet – odparł wsiadając do pierwszego samochodu.

– Niech żyje reżyser! – pisnęła jakaś leciwa niewiasta.

– Niech żyje! – powtórzyło kilkadziesiąt przedstawicielek jej płci. Mężczyźni woleli oklaskiwać piękną nieznaną artystkę, być może debiutantkę, której zmieniona z przerażenia twarz zamajaczyła na chwilę za szybką limuzyny.

– Ratujcieeee! – zabrzmiało po raz ostatni.

Operator z resztą trupy zajął drugie auto i oba wozy ruszyły z miejsca wśród grzmotu hucznych oklasków. Z tego, że i policjant klaszcze, skwapliwie skorzystał Rafał Królik. Rozepchnąwszy energicznie swych prześladowców pognął pustą jezdnią, w kilkunastu susach dopadł pierwszy, nie rozpędzony jeszcze samochód i wskoczył na jego stopień. Ujechał tak z trzydzieści metrów, gestykulując z ożywieniem, gdy nagle drzwiczki otworzyły się i kilka silnych łap wciągnęło go do wnętrza limuzyny.

– Dobrze mu tak. Niech mu dogrzeją, wariatowi. Niech go spiorą na kwaśne jabłko – padały okrzyki z rozweselonego tłumu, gdy ciemne firanki opadły we wszystkich oknach jadącego na przodzie samochodu.

– Proszę się rozejść. Proszę nie robić zbiegowiska. Co się stało, pyta paniusia? Kręceno tu zdjęcie do filmu, pani się spóźniła – huczał policjant.

IV. UWIĘZIENIE

Po odzyskaniu przytomności Rafał poczuł nieodpartą chęć do wywnętrzenia się.

– Za dużom sobie łyknął chloroformu czy może eteru – utyskiwał rozpamiętując szczegóły zacieklej walki, jaką stoczył z prześladowcami Wiery Rusanow; przytrzymali mu ręce, a potem przycisnęli do jego twarzy chusteczkę skropioną solidnie jakimś narkotykiem. – Ściśle biorąc, narkoza nie jest rzeczą złą – mruknął, gdy przypomniał sobie kilka motywów przyjemnego snu, jaki prześnił w ciągu szybkiej jazdy przez miasto. – Tylko potem ciągnie człowieka do stolicy Łotwy więcej niż po imieninowym pijaństwie.

W przewidywaniu morskiej choroby poderwał się gwałtownie, ale jeszcze gwałtowniej runął na wznak na podłogę. Z pewnym zdziwieniem stwierdził dopiero teraz, że jest związany, i to bardzo dokładnie; to niemiłe odkrycie pochłonęło jednak do tego stopnia jego uwagę, że przeszły mu nudności i niebawem zapomniał o swoich przygotowaniach do nieuniknionych torsji.

– Głupia sytuacja – burknął szamocąc się na próżno w więzach. – Pan Onufry Zagłoba był w podobnym położeniu w chlewiku, ale jego przywiązali do szabli. Ba, żeby tak mnie przytroczyli do brzytwy albo noża, także bym wiedział, co począć – monologował. – Rozejrzyjmy się przynajmniej, gdzie jesteśmy. – Łatwo to było powiedzieć, trudniej wykonać ze względu na egipskie ciemności panującego w tym więzieniu. Wymiarkował tylko tyle, że znajduje się w jakimś rozległym, a skąpo umeblowanym pomieszczeniu, gdyż echo rozbrzmiewało tu jak w sali gimnastycznej.

To pierwsze odkrycie nie zaspokoilo bynajmniej jego ciekawości, przeciwnie zaostrzyło ją tylko. Nie mogąc pełzać z powodu pęt, katulał się w wybranym na chybił trafił kierunku, póki nie zatrzymała go niewidzialna przeszkoda. Nie była to jednak jeszcze ściana sali, jak wnet wypenetrował, ale wysoki, drewniany stopień jakiegoś podium czy estrady.

– Już wiem – mruknął. – To jest kościół, a ja doczołgałem się do ołtarza. Pysznie! Tam pod spodem będzie świetna kryjówka.

Zaczął się znów kulać, tym razem wzdłuż owej niskiej drewnianej ścianki i wreszcie w wąskim kącie natrafił na spodziewany wyłom. Kiedy jednak runął weń z rozmachem, odbił się od krawędzi platformy, a to bolesne dlań zderzenie zbudziło liczne a bardzo dźwięczne echa nad jego głową. Przebrzmiały wszakże rychło, ponownie cisza zapanowała w sali i mógł przystąpić do powtórzenia eksperymentu, unikając błędu, jakim była próba wkulnięcia się w tak niziuteńki tunel.

– Muszę tam koniecznie wpełznąć – orzekł i ułożywszy się na wznak skurczył korpus, następnie wyprężył się, znów skurczył i wyprężył i powoluteńku, centymetr po centymetrze wsuwał się pod stopnie rzekomego ołtarza, wysyłając stopy w przedniej straży. – W samą porę – odsapnął, skoro i głowa znalazła się w kryjówce, zasobnej w śmieci i firanki z pajęczyn, bowiem w tym samym momencie zazgrzytał klucz w zamku i żaloszny skrzyp drzwi donośnie rozbrzmiał w tej pustej sali.

– Dwóch ich weszło – wyszeptał wsłuchując się w dudniące echa kroków. – Po mnie przyszli jak amen w pacierzu... Oho, już mnie szukają.

Omylił się na szczęście. Przybyli nie należeli snadź do podwładnych Borysa Łapina, który w biały dzień porwał w centrum miasta Wierę Rusanow i Rafała Królika, skoro nieobecność Rafała porzuconego w więzach na środku sali nie wywarła na nich żadnego wrażenia. Zapaliwszy światło przechadzali się tam i na powrót gawędząc z taką swobodą, jak gdyby byli zupełnie pewni, że prócz nich nikogo tu więcej nie ma.

– To był majstersztyk, towarzyszu. I pomyśleć, że ten głupkowaty policjant jeszcze mu dopomógł w porwaniu. Ba, nawet za kark przytrzymał tajnego agenta, który omal Łapinowi całej tej koronkowej roboty nie pokrzyżował, he, he, he. Świetny kawał, najświetniejszy, jaki znam – ryczał basem jeden z przybyłych.

– Tak, kawał był dobry – przyznał drugi mężczyzna – ale czy przez to co wskóramy? Czy odnajdziemy naszą cenną zgubę?

– Oj, że cenna być musi, to prawda, inaczej nie robiliby takiego piekła. Dość powiedzieć, że sam Woroszyłow...

– Woroszyłow? – bezmierne zdumienie zadźwięczało w głosie pytającego.

– Tsss! Sza, towarzyszu... Rozumiecie teraz, że Łapin, naciskany przez naszego starego, nie cofa się przed niczym, byle...

– No zgoda, lecz...

– Pozwolicie, że i ja wam przerwę. Łapin rozumuje słusznie, że jeżeli Fiodor Rusanow zniknął sobie tak podejrzenie, to kto, jak kto, ale jego ukochana córka będzie najpewniej znała jego kryjówkę, więc wystarczy umiejętnie przycisnąć piękną Wierę, a tajemnica przestanie być tajemnicą, rozumiecie?

– Hm. Zatem on po prostu zwał. A jednak do wczoraj istniała hipoteza uprowadzenia go przez Intelligence Service.

– Ech, towarzyszu; mieliby Anglicy kogo porywać. Uczonego? Mają dosyć własnych. Dla mnie sprawa jest jasna; zasmakował stary w Paryżu, wracać nie chciał do matuszki Rosji, aż dostał takie zaproszenie, że po nim wolał już w ogóle nie wracać.

Rafał Królik słuchał z zapartym oddechem. Pojął od razu, iż rozgłoszenie faktu zniknięcia Rusanowa nie leżało w intencji bolszewików, skoro nie było o tym najmniejszej wzmianki w prasie, że ów Rusanow musiał być grubą rybą, jeżeli sam Woroszyłow dopytywał się o niego z Moskwy, i nagle odezwał się w nim reporter; wszak był dawniej reporterem „Kuriera”, a jedynie przypadek zmusił go do obrania zawodu detektywa. A to by ci była sensacja pierwszoklasna – pomyślał i zatarłby dłonie z zadowolenia, gdyby tylko mógł. – Ze trzy bite kolumny wysmażyłby z tego jak nic.

Gożąco mu się zrobiło na myśl o rozgłosie, jaki by zyskał w warszawskim światku dziennikarskim. Równie skutecznie na podniesienie temperatury wpłynęła ciasnota więzienia – poza tym w niziutkiej kryjówce było nie tylko przekłęcie duszno, ale także brudno, a chmary kurzu wywoływały ustawicznie chęć kichania. Z tych głównie powodów, jak również, aby słyszeć dokładniej, przysunął Rafał głowę do dziury, przez którą wczółgał się tutaj przed jakimś kwadransiem; zdecydował się na to tym łatwiej, że cały otwór znajdował się w cieniu.

Łobuz, a nie kościelny – myślał ze zgorzaniem, napotykając raz po raz sterty niedopałków z cygar i papierosów, brnąc w zaspach śmieci i prując głową istne zasięki pajęczyn. – Nie nazywam się Królik, jeżeli tego draba nie zdemaskuję. Nie dość, że sobie śmietnik urządził pod stopniami ołtarza, jeszcze udostępnia świątynię bolszewikom na ich pogawędki. Och, tego już nadto! – oburzył się, kiedy potracił nosem coś, co uderzająco przypominało szyjkę odwróconej butelki, w dodatku pełnej, sądząc po oporze, jaki stawiała.

– Tak mi ogromnie zaschło w gardle – westchnął Rafał. – Ciekaw jestem, co ten szelma pije? Ech ty, sługo boży, zasłużyłeś uczciwie, by ci to do dna wyduldać – odgrażał się, choć zdawał sobie sprawę, że bez pomocy rąk tego nie dokona.

Tymczasem dwaj Rosjanie usiedli gdzieś w drugim końcu sali. Z urywków rozmowy, prowadzonej półgłosem, domyślił się Rafał, że oczekują tu kogoś starszego od nich rangą czy stanowiskiem. Ów nadszedł wreszcie, odprowadzony z honorami aż do drzwi przez jakiegoś prostaka, który zabawnie szurgał nogami i obsypywał gościa tytułami zgoła „kontrrewolucyjnymi” jak na to bolszewickie towarzystwo.

Przybyły dygnitarz przywitał się chłodno z czekającymi nań, po czym od razu przystąpił do rzeczy posługując się stylem kunsztownie lakonicznym:

– Łapina nie ma, wiem. To źle! On powinien czekać, nie my. W ogóle jestem z niego niezadowolony. Robi głupstwo za głupstwem. Porwanie Wiery Rusanow było idiotyzmem. Zarówno sam fakt, jak przede wszystkim wykonanie. Poseł nie ma dość słów potępienia. Jeśli

stary Rusanow istotnie uciekł, należało córkę śledzić dyskretnie, aż sama nas zaprowadzi do kryjówki. To trzeba naprawić, Wasylu Iwanowiczu. Schwytanego szpicla...

– O mnie mówi – mruknął Rafał Królik, próbujący na próżno otworzyć butelkę.

– Schwytanego szpicla trzeba zlikwidować dziś w nocy, ale tak, aby jego śmierć wyglądała na nieszczęśliwy wypadek.

– Wiszę mamy pod nosem, towarzyszu Laksberger – zarechotał „bas”, a biednemu Rafałowi dusza prawie w pięty uciekła na takie dictum.

– Wisła? Dobry pomysł. Wszystko, co miał przy sobie, włożyć mu na powrót w kieszenie, żeby policji ułatwić zidentyfikowanie zwłok. Utopić zręcznie, bez śladów walki.

– Zrobi się, towarzyszu. Sam dopilnuję.

– To nasza specjalność – dorzucił drugi.

Rafał Królik wysłuchawszy tego zdrętwiał ze strachu, a dla dodania sobie ducha ze zdwojoną energią zaatakował butelkę, postanowiwszy urznąć się na koniec do nieprzytomności.

– Z Wierą Rusanow pomówię sam – ozwał się towarzysz Laksberger spacerując po sali w towarzystwie dwóch satelitów. – Gdzie są więźniowie?

– Tu-tuuu! – zabrzmiało z kąta donośnie i dźwięcznie.

– Co to znaczy?! – krzyknął Laksberger.

– Jakby saksofon.

– Raczej klarnet.

– W każdym razie jeden z tych tam instrumentów.

– No, darujcie, towarzysze, ale żaden instrument nie zagra sam.

– Cicho! Słyszeliście? Tam się coś poruszyło.

Trzej mężczyźni naciągnęli szybko na twarze czarne maski, wydobyli broń i ostrożnie ruszyli w stronę podium orkiestry, pod którym Rafał Królik dzwonił zębami ze strachu; ponieważ zrozumiął swoją fatalną omyłkę i miotał straszliwe przekleństwa na ustnik jakiegoś instrumentu, który w ciemnościach wziął za szyjkę butelki. Na nic się nie zdała rejterada w głąb schowka. Za chwilę wyciągnięto go za kark, a widok trzech zamaskowanych drabów i trzech rewolwerów wymierzonych w niego skruszył w nim resztę odwagi. Stał na drewnianych nogach przed straszliwym areopagiem, który przed chwilą wydał nań wyrok śmierci, i nieprzytomnym wzrokiem wodził dokoła. To nie kościół, ale jakaś podrzędna salka dancinowa – przemknęło mu przez myśl, gdy jego tępe spojrzenie przeleciało rozwieszone na ścianach papierowe girlandy, dwa rzędy stolików z krzesłami i zatrzymało się na estradzie orkiestry, gdzie w nieładzie leżały instrumenty muzyczne. A potem strach go ogarnął jeszcze większy, że chyba całkiem zwariował, skoro tak bezprzedmiotowe spostrzeżenia pochłaniają jego uwagę teraz, w ostatnich chwilach życia.

– A więc to jest ów szpicel – rzekł towarzysz Laksberger.

– Jutrzejszy nieboszczyk nie jest dla nas groźny – dodał zrywając z twarzy maskę, a pozostali dwaj poszli za jego przykładem. – Odprowadźcie go do piwnicy i wracajcie tu zaraz; będziecie mi potrzebni.

Dwóch roślących zbirów wzięło Rafała w środek.

– Marsz! – huknął „bas” wymierzając więźniowi takiego szturchańca, że ten upadł i nie mógł wstać, gdyż miał związane nogi.

– Co to znaczy? – zaprotestował płacząco. – W Łubiance jestem czy gdzie?

– Niech ci się zdaje, że w Brześciu nad Bugiem – zachichotał szyderczo Laksberger.

Zorientowali się wreszcie, że jeniec nie może ani kroku postąpić, i przecięli postronek krępujący mu nogi.

– No to jazda – padła komenda.

Zbliżali się już do drzwi, gdy Laksberger, przechadzający się po sali, przypomniał sobie coś jeszcze:

– Czy zwłoki tego zdrajcy już usunięto? – spytał.
– Prawdopodobnie tak – odparł Wasyl Iwanowicz.
– Jeżeli mówicie „prawdopodobnie”, to znaczy, że nie; niech więc Mikołaj zajmie się tym natychmiast. Dzisiejsza noc jest wymarzona do takiej roboty – zarządził herszt tego małego, ale jakże dobranego grona i uśmiechnął się do swoich wypolerowanych paznokci. – A szpicla mi tak zlikwidować, żeby żadnych śladów nie było – przypomniał wyjmując złotą papierośnicę.
To pewnie pamiątka po którymś z mych poprzedników – pomyślał Rafał posępnie.
– Moim dobytkiem się nie obłowicie, zbiry! – mruknął, ale mała to była pociecha.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI